

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 4875·— Mk. z przes. 4940·— Mk. Półrocznie 9880·— Mk. Rocznie 19760·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 100., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 300.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 400 Marek.

Rok XIX. Kraków, 16 grudnia 1922. Nr. 45.

Rozstrzelanie greckich ministrów

Wykonanie wyroku śmierci na pięciu członkach gabinetu Gunarisa i naczelnym wodzu sił greckich w Małej Azyi jen. Hadianistisie.

Wybór prezydenta Rzeczypospolitej.

Wśród ogólnego napięcia i podniecenia odbyło się w dniu 9 bm. pierwsze posiedzenie Zgromadzenia Narodowego (Sejmu i Senatu) celem wyboru prezydenta Rzeczypospolitej. Otworzył je marszałek Sejmu Rataj i wezwał kluby do zgłoszenia kandydatur. Do prezydyum podchodzą posłowie Głąbiński, Thon, Dębski i inni i zgłaszają kandydatury. Marszałek odczytuje je w porządku alfabetycznym: Baudouin de Courtenay, Ignacy Daszyński, Gabryel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski i Maurycy Zamoyski. Rozpoczęło się głosowanie. Senatorowie i posłowie oddają kartki głosowania, wrzucając je do kosza. Po obliczeniu głosów okazało się, że poszczególni kandydaci otrzymali: Zamoyski (kandydat bloku prawicy) — 222 głosów, Wojciechowski (kandydat PSL) 205, Narutowicz (kandydat Wyzwolenia) 62, Baudouin de Courtenay 103 i Daszyński 49.

Przewodniczący stwierdził, że pierwsze głosowanie nie dało wyniku i zarządził głosowanie powtórne, przy którem Zamoyski otrzymał 228 głosów, Wojciechowski 252, Narutowicz 251, Baudouin de Courtenay 10, Daszyński 2. Ponieważ głosowanie to nie dało również wyniku, więc zarządzono trzecie i czwarte głosowanie, po których pozostały tylko dwie kandydatury: Zamoyskiego i Narutowicza. Rozstrzygnęło piąte głosowanie, w którem głosy Piastowców po odpadnięciu ich kandydata Wojciechowskiego padły na Narutowicza. Otrzymał on 289 głosów (na Zamoyskiego padło 227 głosów), został zatem wybrany prezydentem Rzeczypospolitej.

Bezpośrednio po ogłoszeniu tego wyniku i odczytaniu protokołu Zgromadzenia Narodowego, stosownie do zapowiedzi, uczynionej przez przewodniczącego Rataja, prezydent ministrów Nowak zawiadomił Naczelnika Państwa przesłaniem odpisu wierzytelnego protokołu Zgromadzenia Narodowego o dokonanym wyborze, poczem prezes Rady ministrów w obecności przewodniczącego Zgromadzenia Narodowego oraz marszałka Senatu zawiadomili nowoobranego prezydenta Rzeczypospolitej o dokonanym wyborze.

W poniedziałek odbyło się po g. 12 w południe drugie posiedzenie Zgromadzenia Narodowego, na którem nowoobrany prezydent złożył ślubowanie.

Prezydent Gabryel Naturowicz urodził się w roku 1865 w Telczach na Żmudzi. Gimnazyum ukończył w Libawie studya politechniczne w Petersburgu i Zurychu. Po ukończeniu studyów politechnicznych poświęcił się specyalnie hydraulice i robotom wodnym. Jest on też autorem szeregu dzieł naukowych z tej dziedziny, W r. 1908 objął katedrę na politechnice w Zurychu, w r. 1918 zrezygnował z katedry i przybył do Polski. W lipcu 1920 r. wstąpił do gabinetu Grabskiego jako minister robót publicznych. W r. b. powołany został na ministra spraw zagranicznych po ustąpieniu ministra Skirmunta.



Wybór prezydenta Rzeczypospolitej: Gabryel Narutowicz, nowoobrany prezydent Rzeczypospolitej polskiej

Nowy prezydent jest wdowcem, ma dwoje dzieci. Mówi on językami polskim, francuskim, włoskim hiszpańskim, niemieckim, rosyjskim i litewskim.

Rozstrzelanie greckich ministrów.

(Do illustracyi tytułowej i illustracyi w tekscie).

Niefortunne wmięszanie się Grecyi w zatarg z Turcyą pociągnęło za sobą najfatalniejsze skutki dla kraju, który marzył o wielkości, a znalazł się obecnie nad brzegiem przepaści. Prysnęły, jak bańka mydlana, nadzieje utworzenia wielko-greckiego państwa ze stolicą w Konstantynopolu i rozszerzenia panowania na część Małej Azyi, Grecya, będąca tylko narzędziem w ręku Anglii, mającem jej służyć do przeprowadzenia swej tureckiej polityki, a sama przytem skorzystać, wyszła z tej imprezy sromotnie pokonana, w szeregach jej rozbitej armii zapanowała dezorganizacya, a wewnątrz kraju chaos. Pokazało się, że trzeba wyrzec się nie tylko wielkich aspiracyi na przyszłość, ale pożegnać się także ze zdobytemi poprzednio korzyściami.



Wybór prezydenta Rzeczypospolitej: Maurycy hr. Zamoyski, kandydat Chrześciańskiego Związku Jedności Narodowej.

W kraju zapanowała ogólna konsternacya i niezadowolenie, którego ostrze zwróciło się przedewszystkiem przeciw królowi Konstantynowi, uważanemu słusznie za sprawcę nieszczęścia. Zmuszono go do abdykacyi, a miejsce jego zajął następca tronu, książę Jerzy, ale tylko pozornie, gdyż rządy państwowe ujął faktycznie w swe ręce Komitet rewolucyjny. Księcia Jerzego właściwie internowano w jego pałacu, ci zaś, którzy ujęli w swe ręce władzę, wykonywali ją w ten sposób, jak zwolenniey Konstantyna po jego powrocie na tron. Dokoła szerzono teror, w krótkiej drodze pozbywano



Rozstrzelanie greckich ministrów: Przywódcy ruchu rewolucyjnego pułkownicy Gonatas, Plastiras i Protossinghelos, wkraczają w dniu 28 listopada b. r. do Aten.



Rozstrzelanie greckich ministrów: Powitanie wojsk rewolucyjnych przez ludność Aten

się bez sądu niewygodnych osobistości, uważanych za sprawców pośrednich lub bezpośrednich klęsk. Komitet rewolucyjny ogłosił zupełnie otwarcie, a



Kraków z lotu ptaka: Zdjęcie Rynku, dokonane z aeroplanu S. V. A. Nr. 38.

znalazło to jego oświadczenie oddźwięk nawet w parlamencie angielskim, że dąży do zaprowadzenia republikańskiej formy rządu, o czem wspominano już po pierwszem wygnaniu króla Konstantyna z kraju.

Pierwotnie sądzono, że skończy się jedynie na zmianie osoby na tronie, dziś jest już widocznem, że grecki ruch republikański rozwinął się silnie i ratunek kraju widzi jedynie w zmianie dotychczasowego ustroju państwowego.

Oprócz króla Konstantyna, który posłuszeństwo Anglii przypłacił utratą tronu, tym razem, jak się zdaje, raz na zawsze, Komitet rewolucyjny pociągnął do odpowiedzialności także i królewskich doradców, przedewszystkiem zatem członków byłego gabinetu Gunarisa i naczelnego wodza armii greckiej w Małej Azyi, jenerała Hadianistisa, stawiając ich przed sądem wojennym pod zarzutem, że z pełną świadomością zataili przed narodem, jakie niebezpieczeństwo grozi Grecyi przy wykonaniu tego przedsięwzięcia. Pozatem stanął przed sądem wojennym książę Andrzej, któremu zarzucono opór przeciw rozkazom naczelnej komendy, będący jednym z powodów greckiego pogromu.

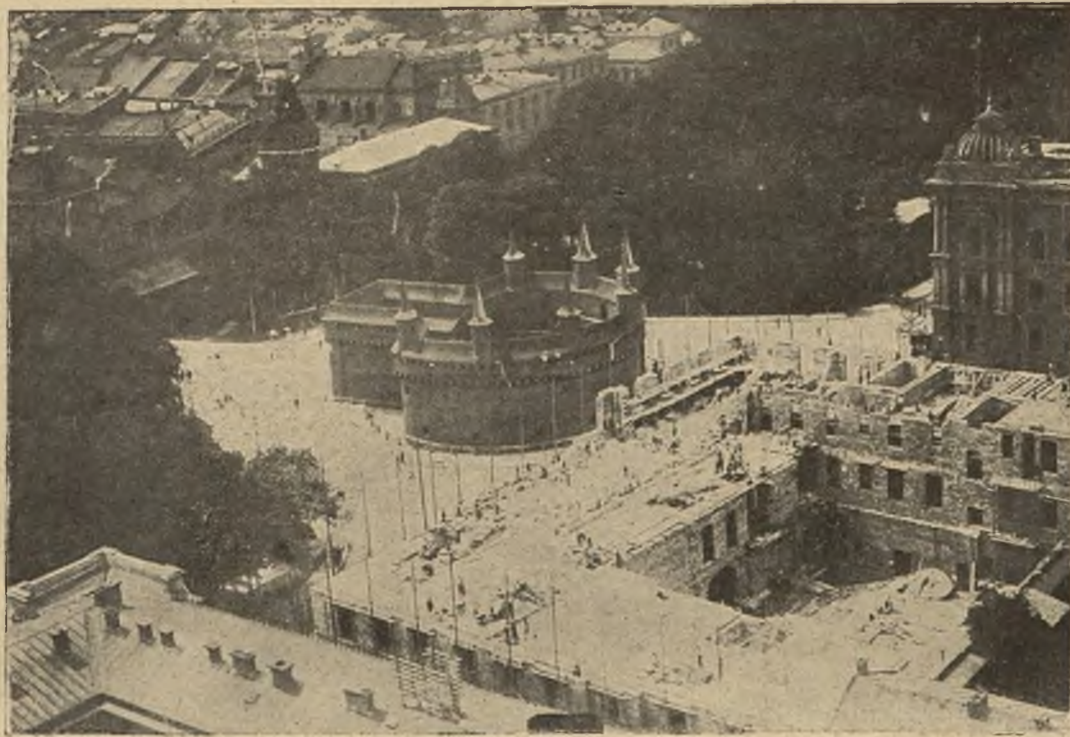
W dniu 28 listopada b. r. odbyła się rozprawa przed trybunałem wojennym w Atenach przeciw pierwszym z oskarżonych. Uznano winnymi zdrady stanu i skazano Gunarisa, Theotokisa, Protopapadakisa, Stratosa, Hadianistisa i Baltazziego na karę śmierci. Stratigosa i Goudasa na ciężkie roboty bezterminowe, wojskowych zaś również na degradacyę. Niezależnie od tego Gunarisa skazano na grzywnę 200.000 drachm, Stratosa na 350.000 dr., Protopapadakisa na 500.000 dr., Baltazziego na 1,000.000 drachm, Theotokisa na 1,000.000 drachm. Egzekucya skazanych na karę śmierci wykonaną została niezwłocznie pomimo sprzeciwu posła angielskiego Lindleya, który już poprzednio protestował bezskutecznie przeciw stawieniu oskarżonych przed sądem. Wobec tego poseł angielski zażądał paszportów i opuścił Grecyę, zrywając w ten sposób stosunki dyplomatyczne Anglii z tym krajem. Tak samo postąpił i poseł włoski.

Książę Andrzej spotkał się również z wyrokiem potępiającym, acz nieco łagodniejszym. Skazano go na degradacyę i wygnanie z kraju, który też niebawem opuścił na włoskim okręcie, udając się przez Włochy na stały pobyt do Anglii. W wywiadzie, jakiego udzielił dziennikarzom włoskim, podkreślił książę Andrzej, że życie swe zawdzięcza jedynie skutecznej interwencyi papieża, Anglii i Włoch.

Skazanie greckich ministrów wywołało w opinii światowej różne komentarze, wszyscy jednak zgadzają się na jedno, to jest, iż Grecya przechodzi obecnie fazę najbardziej krytyczną od chwili wybuchu wojny. Stosunki jej z zagranicą prawie że nie istnieją, a wewnątrz kraju szerzy się coraz bardziej anarchia, kilkakrotnie powtarzano już pogłoski o ucieczce nowego króla Jerzego, co na razie okazało się nieprawdziwem, ale może być lada dzień spodziewane.

Kraków z lotu ptaka.

„Wyleć orłem z twego gniazda — miłać będzie taka jazda" — pisał przed przeszło pół wiekiem w patryotycznem natchnieniu piewca cudów ojczystych — Wincenty Pol, którego 50 rocznicę zgonu w tym miesięcu obchodzić będziemy. „Wyleć orłem z twego gniazda..." — Zaiste! czyż poeta mógł przypuszczać, że to, co było fantazyą jego ducha zamieni się z czasem w realną rzeczywistość, że człowiek-orzeł będzie mógł wzbić się naprawdę ponad chmury, by „spojrzeć z góry na swą ziemię i rodzinne swoje plemię".



Kraków z lotu ptaka: Zdjęcie Barbakanu, dokonane z aeroplanu S. V. A. Nr. 38.

Dzisiaj na ścigłym aparacie wzbija się odważny lotnik na wyżyny, które dawniej myślą chyba mógł poeta osiągnąć. Płyńmy z nim razem w górne przestworza.

Jesteśmy nad Krakowem. Wytężmy wzrok, by rozróżnić strony miasta i zoryentować się w położeniu. Kamienice i najpotężniejsze budowle wydają nam się tak małe i drobne, jak tekturowe domki dla zabawy dzieci.

A! otóż poznajemy! Rynek krakowski ze Su-



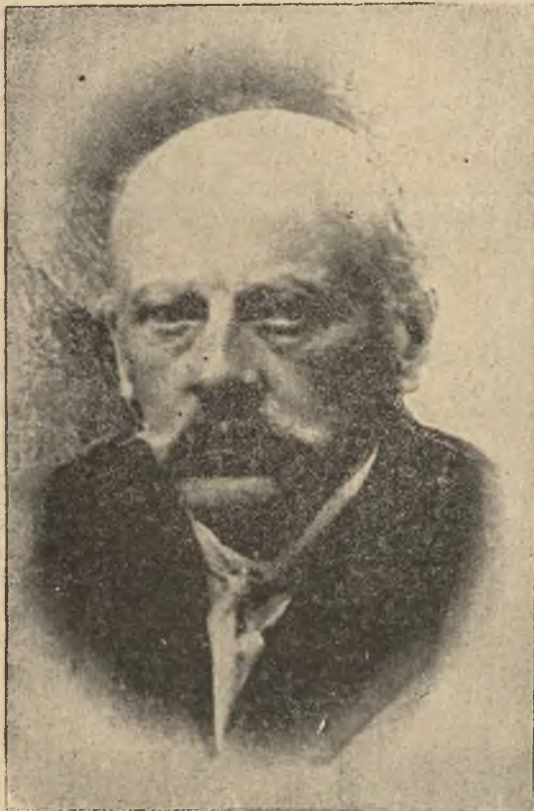
Pogrzeb jenerała Iwaszkiewicza we Lwowie: Duchowieństwo w kondukcie. Fot. M. Münz, Lwów.



Zgon pierwszego wojewody śląskiego: Ś. p. Rymer

kiennicami i wieżą Ratuszową. Wprost przed nami ulica Szewska — gubiąca się — tak się z wysoka wydaje — w labiryncie drzew krakowskich Plantacyi. Dalej Karmelicka z konturami swego kościoła, dalej małe domki okolicznych przedmieść Nowej Wsi, Czarnej Wsi, Kawiorów, Krowodzy...

Ale pilot zmienił już kierunek. Jesteśmy nad Placem Matejki. Tu na prawo przed nami Szkoła



Z żałobnej karty: Ś. p. Alfred Daun, artysta rzeźbiarz

Sztuk Pięknych, pod nami bezpośrednio Barbakan ze smukłemi swemi wieżyczkami, dalej na lewo Brama Floryańska i baszty szczątkowych murów obronnych. Tam środek prospektu zajęła potężna, w połowie dopiero wyprowadzona budowla: to gmach Krajowej Kasy Pożyczkowej.

Dobrze nam tu w powietrzu, na tych wyżynach, gdzie wzrok biegnie w nieskończoność, a ze wzrokiem duch podąża, gdzie pierś niezatruta atmosferą miasta oddycha swobodnie. Dobrze nam tu — ale



Pogrzeb jenerała Iwaszkiewicza we Lwowie: Laweta ze zwłokami Fot. M. Münz, Lwów

trzeba wracać. Opuszczamy się zwolna i lądujemy szczęśliwie.

Jesteśmy na ziemi, a orla wycieczka w przestworza powietrzne wydaje nam się jak snem.

W dzisiejszym numerze podajemy dwa udatne zdjęcia Krakowa, dokonane na aparacie lotniczym S. V. A. Nr. 38.

Zgon pierwszego wojewody śląskiego.

(Do illustracyi na str. 3.)

W Katowicach zmarł w sile wieku ś. p. Józef Rymer, pierwszy wojewoda śląski, prezes honorowy N. P. R., znany działacz narodowy. Po kilkutygodniowej chorobie nerwowej udał się do Warszawy na uroczystość zmiany Sejmu oraz na pilne narady z rządem w sprawach wojewódzkich. Powróciwszy z Warszawy, zapadł na zapalenie mózgu, na które umarł.

Ś. p. Rymer był wybitnym działaczem robotniczym, odznaczającym się inteligencyą i wielką prawością charakteru. Z ramienia N. P. R. został wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego. W roku 1919 wysłany był na pierwszą konferencyę międzynarodową pracy w Waszyngtonie, jako drugi delegat rządu. Po wybuchu powstania na Górn. Śląsku 3 maja 1921 r., gdy ówczesny komisarz plebiscytowy z ramienia rządu polskiego, pos. Korfanty przyłączył się do powstania i złożył urząd komisarza, na jego miejsce powołano ś. p. Józefa

Polska flota powietrzna: Wnętrze hangaru na Ławicy pod Poznaniem.

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

6)

jest pani albo zanadto ambitną, albo zanadto wyrachowaną.

– Sąd pana mało mnie obchodzi – odparła dumnie Marta. – Żegnam pana, nie mamy sobie chyba już nic więcej do powiedzenia. – Mówiąc to Marta, oddaliła się szybko do pokoju, który zajmowała zawsze za życia swojej opiekunki i zamknęła się w nim na klucz. Wieczorem, według umowy, zjawił się Armand. Rozmowa ich trwała niedługo.

Marta zdenerwowana, osłabiona ostatniemi ciężkiemi przejściami – nie czuła w sobie siły do zwalczania rozpaczy i buntu Armanda. Na wszelkie jego przekonywania, iż pan Sorel zmieni może jeszcze zdanie, widząc trwałość ich wzajemnej miłości i zezwoli na urzeczywistnienie ich najgorętszych pragnień – odpowiadała smutnym uśmiechem i milczeniem.

Wspomniała tylko, że zamierza powrócić do Sióstr Augustyanek, gdzie obejmie zajęcie nauczycielki nowicyuszki, do czego upoważniają ją niedawno zdobyte dwa dyplomy – i tam na zawsze już pozostanie.

– Ależ Marto, przez litość! błagam cię! Nie zechcesz chyba poświęcić się życiu zakonnemu – błagał Armand, nieprzytomny z rozpaczy.

– Nie stanie się to w każdym razie przed upływem roku – uspokajała go młoda dziewczyna. — Rozumiesz sam, że nie mogę obecnie pozostać bez żadnej opieki...

– Marto... gdybyś chciała...

– Nie zechcę nic, coby mi w przyszłości przyniosło wyrzuty sumienia.

– Moglibyśmy wyjechać z Francyi – osiedlić się gdzieś daleko...

– Nie! Nie! Armandzie, nie kuś mnie daremnie. Miłość nasza musi pozostać piękną i czystą do końca! Będzie to, co los nam przeznaczył. Oh! nie! nie! – wzdrygnęła się, zasłaniając twarz rękami. – Nie zgodzę się nigdy na hańbiącą ucieczkę z tobą! na życie pełne żalów i wyrzutów sumienia... Rozejdźmy się teraz, pewni naszej miłości i dumni z odniesionego nad sobą zwycięstwa. Czy w miłości twojej niema wytrwania, Armandzie?

– Marto, Marto! Zabijasz nas oboje! – jęknął Armand.

– Nie, Armandzie. Chcę ratować nasze uczucie przed splamieniem, abyśmy, jeżeli kiedy spotkamy się w życiu, mogli spojrzeć sobie w oczy z tą samą ufnością i wiarą – wymówiła ze wzruszeniem, z powagą młoda dziewczyna, pociągając go z łagodną stanowczością ku drzwiom.

IX.

Przymusowe rozłączenie Armanda Sorel z Martą trwało trzy długie lata. I teraz, kiedy już ochłonęli cokolwiek z wrażenia pierwszego, niespodziewanego spotkania – jeszcze wierzyć sobie nie chcieli, że znowu los i przeznaczenie postawiło ich jedno naprzeciw drugiego.

– Ah! Marto! – mówił Armand drżącym, wzruszonym głosem, wpatrując się zachwyconym wzrokiem w zarumienioną szczęściem twarz młodej dziewczyny – gdybyś ty wiedziała, jakie straszne, niezapomniane chwile przeżyłem po naszem rozłączeniu. Sądziłem, że tak, jak mi mówiłaś, schroniłaś się do zakładu Sióstr Augustyanek i codziennie wieczorem błądziłem pod murami klasztoru, w nadziei ujrzenia cię choć na chwilę.

Ale ani razu nie udało mi się zobaczyć cię, Marto. Zaniepokojony w końcu śmiertelnie, doprowadzony do ostatecznej rozpaczy, zdecydowałem się pewnego dnia wejść do klasztoru i zapytać o ciebie przełożonej. Ale ona nie widziała cię wcale, nie rozmawiała nawet z tobą.

Oh! Marto, Marto, co się działo wówczas ze mną, kiedy wyszedłem stamtąd! Przypomniały mi się niektóre słowa twoje, które kazały mi przypuszczać, że uspakając mnie wtedy – inny już zamiar nosiłaś w sobie. Ale jaki? Czyżbyś w śmierci poszukała spokoju!

– Biedny mój przyjacielu – szepnęła Marta.

– Ogarnęła mnie taka rozpacz, że zacząłem i ja także myśleć o samobójstwie, ale jakaś ukryta głęboka nadzieja utrzymywała mnie ciągle.

W tym czasie w domu naszym zaczęły się dziać smutne i niedobre rzeczy. Matka moja tak silnie odczuła zerwanie naszego związku, że zapadać zaczęła na zdrowiu, aż w końcu dobił ją widok mojego ciągłego antagonizmu z ojcem, na który już wpływać nie mogła. Umarła w parę miesięcy po twojem zniknięciu. Śmierć ta rozcięła ostateczną przepaść pomiędzy moim ojcem a mną. Opierałem się coraz gwałtowniej i bezwzględniej jego namowom poślubienia córki pana Cotty, dla którego nawet podczas pewnej rozmowy okazałem się bardzo niegrzecznym i zuchwałym. Odtąd dom nasz stał się codziennem środowiskiem najgwałtowniejszych kłótni – ojciec mój zdenerwowany i podniecony, ciągle miewał teraz zatargi ze swoimi robotkami, aż jednego razu po silniejszem wzburzeniu zmarł nagle, rażony atakiem apopleksyi.

– Oh! Boże, Boże! – jęknęła Marta.

Po śmierci ojca sprzedałem resztę fabryki, bo część jedną pochłonął pożar kilka miesięcy przedtem i na zawsze postanowiłem wyjechać z kraju, gdzie mnie same najokropniejsze spotykały nieszczęścia. Początkowo podróżowałem po całej Europie, usiłując w podróżach tych zagłuszyć tęsknotę szaloną za tobą. W końcu wszedłem w kontakt z wielkiem przedsiębiorstwem kolonialnem i mam właśnie w jego interesach udać się do Indyi w celu eksploatacyi kopalń żelaznych.

Miałem już odpłynąć za kilka dni, kiedy przeznaczenie przywiodło mnie do tej sali. Poznałem cię, Marto i zdumiony, oszalały nadzieją i zwątpieniem, dotarłem do ciebie...

– Oh! Armandzie! – zawołała Marta ze łzami wzruszenia w oczach. Przeszliśmy oboje straszną, okropną próbę. Kiedy wyszedłeś wówczas z mojego pokoju, uczułam w sobie taką rozpacz, taki bezwład myśli, że obawiałam się, że oszaleję. Jedna tylko myśl wybijała się jasna z tego chaosu, który mnie ogarnął: muszę bezzwłocznie iść do zakładu i zająć dawne miejsce pomiędzy mojemi towarzyszkami. Lecz i ta myśl jednak została wkrótce zwalczona inną, groźniejszą...

– Pomyślałaś o śmierci, Marto?

– Tak, Armandzie... ale broniłam się przed nią tak silnie, że nie chcąc jej ulegać, wśród nocy ubrałam się i opuściłam dom mojej opiekunki, kierując się instynktownie w stronę klasztoru. Chciałam tam przybyć nad ranem, jednakże biegłam tak szybko przez lasy, że za wcześnie jeszcze znalazłam się pod murami zakładu. Wszystkie drzwi były jeszcze zamknięte. I wówczas wśród nocy, te mury szare, zimne, wydały mi się tak straszne, tak złowrogie, że lęk jakiś wewnętrzny ogarnął mnie nagle.

Zrozumiałam, że zamknięcie się tu, z tą rozpaczą i miłością w sercu, byłoby jeszcze gorsze niż śmierć sama. Oddaliłam się, nie zadzwoniwszy do furty. Deszcz tymczasem zaczął padać – wkrótce ubranie moje przemokło do ciała. Nie wiedziałam, co robić? Nie chciałam mokra i zabłocona powracać do Thisc... wstydziłam się... głowa płonęła od szalonych myśli. Więc iść zaczęłam bez celu, prosto przed siebie.

Nie wiem, jak długo tak szłam... siły zaczęły mnie opuszczać... myśli mącić... tylko świadomość okropnego fizycznego i moralnego bólu tliła we mnie, odbierając resztę przytomności umysłu.

Doszłam nareszcie do szerokiej, równej jakiejś drogi. Po prawej ręce wznosił się wzgórek dosyć wysoki, po lewej spadek ostry, zabezpieczony żelazną poręczą.

Doszedł mnie nagle tentent kół! Przelękłam się! Wozy jakieś jechały – ludzie ujrzeć mnie mogli! Okropny, niewytłómaczony lęk wstrząsnął mną całą! Rozpaczliwym wysiłkiem pochwyciłam ręką żelazną poręcz i wsparłam się na niej z całej siły, omdlewając już prawie. Ale w tej samej chwili dobiegł mnie tam z dołu plusk wody, rozbijającej się o kamienie – pochyliłam się... ciemne tonie błysnęły ku mnie zachęcająco... Oh! Armandzie!... tam przecież było wybawienie... koniec całej męki i rozpaczy. Szalona radość ogarnęła mnie... przechyliłam się jeszcze więcej i wskoczyłam do rzeki.

— Oh! Marto, moja biedna Marto! Jak ja mogłem pozostawić cię samą tej nocy okropnej! – zawołał Armand, przejęty do głębi tragicznem opowiadaniem młodej dziewczyny. Powinienem był pomimo twojej woli strzedz cię i nie dopuścić do takiej ostateczności.

– Kto wie Armandzie, czy byłoby to dobrem dla nas – zaprzeczyła łagodnie Marta. – Tak być widocznie musiało. – Ale posłuchaj jeszcze:

Kiedy leciałam w tę przepaść straszną, dobiegł mnie nagle donośny, męski głos:

– Co to było, Dżim – czy słyszałeś? Ktoś krzyknął tu, niedaleko!

O tem, co się później stało, opowiedziano mi dopiero w kilka dni później, kiedy odzyskałam przytomność. Leżałam w dużem, bogatem łóżku. Pokój był piękny, wytwornie urządzony, choć mały. Jakiś ciągły hałas, stukot kół i kopyt końskich otaczał mnie. Zrozumiałam, że pokój, w którym leżałam, był ruchomy i posuwał się ciągle miarowym ruchem naprzód.

W tej samej chwili, człowiek starszy, o siwych, krętych włosach, twarzy ciemnej, bronzowej, uchylił ostrożnie firankę, która zasłaniała wejście i podszedł do mnie z rozpromienioną twarzą. Tym człowiekiem był Hiszpan, stary Busutio. Był on właścicielem wędrującej menażeryi, z której dostarczał najpiękniejsze okazy do ogrodów zoologicznych w większych miastach Europy.

Obecnie Juan Bosutio powracał z corocznego swojego objazdu do Katalonii, gdzie nad brzegiem morza posiadał całe stado dzikich zwierząt różnego gatunku, dostarczanego mu z Afryki przez karawany, z któremi łączyły go wspólne interesy i układy.

On to usłyszał mój krzyk ostatni i przy pomocy swojego młodego służącego, Dżima, wyratował mnie z nurtów rzeki.

– Oh! Marto, jakaż dziwna i straszna opowieść twoja! – zawołał Armand, gorącymi pocałunkami okrywając ręce młodej dziewczyny – Słucham i wierzyć mi się nie chce, czy to sen, czy rzeczywistość.

– Niestety, rzeczywistość Armandzie – odpowiedziała smutnie Marta. – Ale widzisz jednak, że wszystko jak najlepiej skończyło się dla nas – dodała, uśmiechając się łagodnie – skoro jesteśmy znowu razem.

– Oh! tak, Marto! tak! przeszłość nie może nas już przerażać, bo teraz uśmiecha się do nas najrozkoszniejsza, najradośniejsza przyszłość, której nic zamącić nie jest już w stanie. Ale powiedz mi kochana, co to za człowiek był ten stary Hiszpan. Czy dobrym okazał się dla ciebie?

– Jak najlepszym, Armandzie. Kiedy pod jego opieką nabrałam sił dostatecznych, zapytał mnie, czybym nie chciała mu towarzyszyć aż do Katalonii. Mówił mi, że czuje się już bardzo zmęczonym, starym i pragnąłby mieć przy sobie kogoś, któryby zająłby się jego korespondencyą i pewną częścią administracyjną jego przedsiębiorstwa. Zgodziłam się, bo czyż miałam co do wyboru i w ten to sposób przebyłam całą Francyę, smutne, przybita, nie zwracając prawie uwagi na cudne pejzaże i okolice, któremi przejeżdżaliśmy. Opowiem ci później, Armandzie – kończyła opowiadanie swoje Marta – jakiego dziwnego, pociągającego wrażenia doznałam, zetknąwszy się po raz pierwszy z dzikiemi zwierzętami. Wrażenie to zamieniło się później w pociąg jakiś konieczny. z którego nie umiem sobie zdać sprawy. Prędko zaprzyjaźniłam się z całem stadem starego Hiszpana – i... pozostałam jego właścicielką, bo wkrótce po przybyciu na miejsce przeznaczenia Juan Busutio zaniemógł ciężko i cały zarząd swojej małej kolonii zdał na mnie.

Opiekowałam się nim, jak gdyby był moim ojcem, za co był mi gorąco wdzięczny i obdarzał coraz większem zaufaniem. Stary Hiszpan umarł w końcu zeszłej jesieni, pozostawiając mi cały swój majątek. Wówczas to ogarnęła mnie szalona tęsknota za krajem i postanowiłam powrócić do Francyi.

– Czy myślałaś jeszcze wtedy o mnie Marto? – zapytał przekornie Armand.

– Niedobry! – odpowiedziała z wymówką. – Uczucie moje dla ciebie, tak żywe i głębokie, było, jak w pierwszych miesiącach naszej miłości. Chciałam wracać do Francyi... bo pragnęłam przekonać się... czy i ty...

– Czy i ja pozostałem ci wiernym!? – zawołał Armand. – Oh! tak! Marto! tak! Czy wierzysz mi, najdroższa?

– Wierzę – odpowiedziała młoda dziewczyna z powagą. – Takiem było nasze przeznaczenie, wola Boga. Ale chodźmy już stąd Armandzie – zapanowawszy nad wzruszeniem dodała powstając. – Późno już... zaczną światła gasić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

7)

Cioci Flory na szczęście nie było.

Zamknęła się więc w kuchence i nie rozbierając się, nie zapalając światła rzuciła się na łóżko z radosnem uczuciem ulgi.

Ale napróżno uporządkować chciała wzburzone myśli, ład jakiś zaprowadzić w nawale wrażeń, pochłaniających ją chaotycznie, jedno tylko jedyne pytanie stawało przed nią, na które odpowiedzi nie umiała znaleźć:

— Co to było? Co się stało?

Więc jedno spojrzenie nieznanego zupełnie mężczyzny dostatecznem było, aby zburzyć momentalnie i bezwzględnie cały jej spokój i swobodę myśli?

Jedno spojrzenie dokonało przewrotu, od którego broniła się lat tyle, pyszna w swoją moc zewnętrzną i obojętność na wszelkie zmysłowe odczucia.

Bo czemże był dla niej dotąd mężczyzna? Złem koniecznem dla natur kobiecych słabych, potrzebujących fizycznej opieki, narzuconym panem ich niewolniczych instynktów.

Patrzała na tę nizką niewolę kobiet swojego otoczenia i wraz z latami wzmagał się w niej wstręt przed zbliżeniem się mężczyzny, pogarda dla kobiet żyjących w zależności ich fizycznej i przeświadczenie głębokie, że ta dziedzina na zawsze dla niej obcą i niepotrzebną zostanie.

Była kobietą, ale przedewszystkiem chciała być i pozostać tylko wolnym człowiekiem wystarczającym sobie.

Te myśli i te przekonania właśnie, wpłynęły na ucieczkę jej z domu rodzicielskiego — bo czuła, że jeżeli dłużej jej przyjdzie pozostać w tej atmosferze, którą brzydziła się i zrozumieć nie chciała — stać się może w końcu taką samą, jak i tamci. Przed oczami Marty w tej chwili przesunęła się sylwetka człowieka, który od lat dwóch napróżno starał się o jej względy. Przypomniała sobie wstrętne, ordynarne sceny, towarzyszące każdej jego bytności w domu — niecierpliwe naleganie matki, widzącej szczęście dla niej w tym związku — brutalne wymówki ojca i jego nieobliczalną wściekłość, wybuchającą przy silniejszym oporze z jej strony.

Jakże dobrze pamiętała ten wstręt przemożny, który wstrząsał całą jej istotą, ilekroć tamten upoważniony przez matkę zbliżał się do niej z jakąś poufalszą pieszczotą. Jakże pewną siebie i uporną czuła się wobec rozgorzałych walką zdobycia, jego przenikliwych, podrażnionych spojrzeń.

A czy te jego spojrzenia tak bardzo różniły się od tego jedynego, niezapomnianego, które dziś na nią spadło?

Wyczytała w niem to samo władcze pragnienie, tę samą żądzę zdobycia i ukorzenia jej woli — a jednak nie odwróciła oczu i przyjęła w siebie żar, który bił z niego.

Więc co to było? Co się stało?

Co wpłynęło na tę zmianę, co zmogło jej wstręt i uczyniło ją tak bezwolną i poddańczą... jak tamte!?

Wzdrygnęła się Marta. Czy być może, żeby ona mogła się stać do „tamtych" podobną? Czyżby te zmysły, których istnienia do świadomości swojej przyjąć nie chciała — istniały przecież — miały naprawdę wyrobiony swój cel i konieczność ujawnienia się?... Czy moc ich była tak potężna, że ubezwładnić na zawsze mogły najodporniejszą wolę, stać się siłą kierującą, a nie lekceważoną!?

— Co to było? Co się stało? — pytała się po raz setny Marta, szeroko rozwartemi oczami wpatrzona w ciemność małej kuchenki.

Zazgrzytał klucz w zatrzasku. To ciocia Flora wracała. Musiała być już późna godzina.

Marta przywarła głowę do poduszki, udając że śpi. Nie zniosłaby za nic dzisiaj rozmowy z tą kobietą. Ranne jej słowa dźwięczały jej jeszcze w uszach. I właśnie te słowa jej, te rady i to spojrzenie potem... ta cała burza myśli zerwanych w mózgu... Marta z zduszonym jękiem ukryła jeszcze głębiej twarz w poduszkę.

— Nie! Nie! spokoju chcę! spokoju! Czego ci ludzie chcą od niej?

— Marto śpisz? — zaskrzeczał wśród ciszy głos cioci Flory.

Dziewczyna nie poruszyła się.

— Śpi — szkoda — mruknęła stara, odchodząc — miałam jej coś ciekawego do powiedzenia.

III.

Marta nazajutrz obudziła się ze silnym bólem głowy. Spostrzegła z przerażeniem, że przeleżała całą noc w ubraniu. Zdarzyło jej się to pierwszy raz w życiu. Zła była na siebie i postanowiła otrząsnąć się z wrażenia, które owładnęło ją taką niemocą. Przebrała się szybko, zagotowała wodę na maszynce i chciała ostrożnie wysunąć się z kuchenki nie budząc cioci Flory.

Ale stara już nie spała i czyhała tylko na przebudzenie Marty.

— Chodź no tu, Marto, chodź — zawołała jak tylko posłyszała ruch w kuchence. — Byłam wczoraj u Luny.

— Spieszę się bardzo, proszę pani — odpowiedziała niechętnie dziewczyna. — Boję się spóźnić.

— Oh! teraz to już stale spóźniać się będziesz mogła — zaśmiała się ciocia Flora. — Masz protekcyę pewną i poważną. Nic ci nie zrobią. Chodź że przecie — rzuciła niecierpliwie, podrażniona biernością Marty.

Dziewczyna stanęła we drzwiach już ubrana do wyjścia.

— Byłam wczoraj u Luny — strasznie rozdrażniona na ciebie — oświadczyła z zadowoleniem ciocia Flora, wychylając głowę z pod kołdry.

— Na mnie? — zdziwiła się Marta.

— A jakże! Powiada, że ładnie jej się wydzięczyłaś za protekcyę i opiekę.

— Nie rozumiem...

— Eh! przestańże już raz grać komedyę! — rozzłościła się stara. — Ze mną przecież możesz być szczera. Nie jedno ja sama w życiu przeszłam, to i doradzić ci pomogę. Teraz, moja kochana, wszystko od ciebie zależy, jak nim pokierujesz.

— Kim, na miłość boską, kim? — wyszeptała z trudem Marta.

— Wankiem! — krzyknęła prawie ciocia Flora, wychylając się całkiem z łóżka i ukazując niedyskretnie zaniedbany negliż nocny. — Tak, tak, niby to nie wiesz — Wankiem! Kimże by innym? Co za utrapiona dziewczyna! Myślałam ja wczoraj jeszcze, żeś ty naprawdę głupia i naiwna, ale teraz nie zamydlisz mi już oczu, moja kochana... Mądrzejsza jesteś od nas wszystkich!

— Ależ pani — zaczęła Marta, oszołomiona potokiem słów niezrozumiałych dla niej.

— No, no, znam ja takie naiwności pozorne! Ale tem lepiej dla ciebie, żeś taka! Nie zjedzą cię ludzie! Już tam coś musi być między tobą a Wankiem, skoro naraziłaś sobie Lunę. Głupiec on tylko, że się zdradził przed nią. Ale co tam! O nią mi nie chodzi, był Wanke, będzie inny! Taka jak ona da sobie radę...

— Pani wybaczy, ale ja naprawdę iść muszę — rzekła stanowczym głosem Marta, w której zagrało nagle oburzenie. — Do widzenia.

— A idź, idź, skoro ci się tak do niego spieszy — zachichotała stara. — Ale pamiętaj, trzymaj się ostro. Im dłużej się trzyma mężczyznę w odwodzie, tem pewniejszy...

Marta nie dosłyszała już ostatnich słów.

Jak szalona wybiegła z mieszkania.

W głowie jej się mąciło.

Co to miało znaczyć to wszystko? Co to było? Dlaczego pani Luna miała żal do niej? Dlaczego pani Flora mówiła z nią w ten sposób o młodym szefie? Skąd miała prawo zajmować się jej osobą i zwracać się do niej z radami, o które nie prosiła i których pojąć nie mogła?

A przedewszystkiem, jak mogła dotykać tak brutalnie i bezwzględnie tego, o czem myśleć nawet nie chciała, nie poważyła się zgłębić i zrozumieć. Więc jakże to?

To pierwsze tak niespodziewanie odczute, najtajniejsze poruszenie jej kobiecości, pierwszy oddźwięk czegoś, czego jeszcze skrystalizować nie mogła, już w samym zaczątku, miało być splamione, przyćmione realną czernią cynicznych sądów i dociekań ludzi obcych?

Ten pierwszy blask, który przez spojrzenie jedno zapadł w jej duszę i oślepił niezrozumiałą siłą, już ośmieliły się pochwycić spojrzenia inne, wrogie i rozwłóczyć po świecie jako własność swoją — kiedy ona, stojąc przed tem, jak przed tajemnicą niezgłębioną, nie mogła sobie jeszcze zdać sprawy co to było właściwie?

— Dzieje się coś wokoło mnie i we mnie, z czem poradzić sobie nie umiem — pomyślała Marta bezwolnie.

I po raz pierwszy odkąd tu przybyła, z lękiem spojrzała w przyszłość.

Energia jej i pewność, że ułoży sobie życie takie tylko, jakie będzie chciała, opuszczać ją w tej chwili zaczęły. Na cóż więc się zdały wszystkie wyrobione w sobie postanowienia o samodzielności zupełnej? Na co się zdała moc narzucona sobie, która uczynić ją miała odporną na to wszystko, co na zawsze z życia swojego wykreślić pragnęła?

Odzież to niezbite przekonanie, że stanie wolną i niezależną wobec drugich — kiedy już teraz jedno gorętsze spojrzenie męzkich źrenic i kilka słów rzuconych przez kobietę małej wartości, są wstanie wyprowadzić ją z równowagi moralnej, z której tak dumną była?

Więc nie mogą stać się życiem realnem pragnienia i przekonania narzucone woli tylko drogą upartego rozumowania? Teorya, wysnuta i przeżyta myślą samą — realną rzeczywistością? A to, co wytworzył mózg — nie jest jeszcze życiem samem?

W umyśle Marty nawał myśli, dotknięty nagle lekkiem tchnieniem zmysłowości — wytworzył niespodziewanie taki chaos, że tracić w nim zaczęła dotychczasową zimną pogodę duszy i jasność oryentacyi.

Inteligencya jej wrodzona, podsycana doraźną, nieprogramową lekturą, której oddawała się zapamiętale, krytyczne, bezwzględne osądzanie faktów, których zgłębić nie umiała, zimny realizm objawów, podpatrzonych mimowoli w otoczeniu swojem, niższem od niej umysłem — wyrobiły w niej upodobanie do chłodnej, rzeczowej choć jednostronnej refleksyi, gdzie dotąd na uczucie i silniejsze przeżycia duchowe miejsca nie było.

Nie znając życia, nie znając natury ludzkiej we wszystkich objawach, brzydząc się nią nawet właśnie w stosunku do pewnych jej objawów mimowoli dostrzeżonych, lecz nie zrozumiałych. — Marta była pewną, że życie swoje i własną naturę potrafi zawsze pokierować i podporządkować woli swojej i rozumowaniu.

Ale oto teraz pewność ta nagle chwiać się zaczęła, jak drzewo o podciętych korzeniach.

W umyśle Marty kołatać zaczęły natrętne pytania:

— Co jest życiem prawdziwem? Co jest prawdą? A co złudą niedościgniętą?

Do pracowni weszła roztargniona, niespokojna, z jakimś nieokreślonym lękiem w duszy.

Rozebrała się szybko automatycznymi ruchami i nie zwracając uwagi na żywy ruch pulsujący wokoło, zajęła się wyznaczoną robotą.

Jak gdyby z za dalekiej ściany dochodził ją gwar rozmów, turkot maszyn, nawoływania, uśmiechy. Oddzielona od tego wszystkiego myślami swojemi męczyła się dalej nad rozwiązaniem zagadek, które nagle stanęły przed nią, niezgłębione, drażniące swoją tajemniczością.

Tymczasem w pracowni jak co dnia złośliwość ludzka, głupota i niechęć wzajemna robiły swoje. Krzyżowały się jak klingi wyostrzone w ogniu, złośliwe uwagi, docinki, gniewne okrzyki tłumionej goryczy i zazdrości. Młodość zbuntowana przymusową pracą i zamknięciem kilkugodzinnem, nie oszczędzała nic i nikogo, żywiołowa, niesprawiedliwa i okrutna w swoich sądach, powstałych pod wrażeniem chwili.

Niewiele ust milczało, ale i na tę pieczęć milczenia uporną, złożyć się musiało, ciężkie, do apatyi doprowadzone zniechęcenie i zobojętnienie na wszystko, lub też tęsknota jakaś, co jak chmura ciemna spadła na duszę, gasząc wszystkie jej naturalne promienie.

Na wszystkich tych młodych twarzach, pochylonych zda się własnowolnie nad lżejszą lub cięższą pracą wybijał się ponad inne odbicia wrażeń, wyraz nieukrywanego niezadowolenia i przymusu.

Wszystkie te młode dusze, z małymi wyjątkami może, nie umiały pogodzić wybujałych pragnień swoich z koniecznością nieubłaganą życia, pokochać pracę, dającą im możność istnienia, nie umiały nie widzieć wrogów w tych, których los wzniósł na niedostępny jeszcze dla nich szczebel, tak zwanej wyższości socyalnej

Do tego szczebla wiodły według ich zrozumienia tylko objawy próżniaczego, sytego i wy-

godnego życia, beztroska zupełna, egoizm zimny i duma, którą się otaczali rozmyślnie, wyłączając się tem od tych innych, szarych i nędznych postaci, cisnących się tam w dole. I to błędne zrozumienie było powodem, że usta te, które powinny się śmiać i były radością życia i miłości, wykrzywiał teraz grymas zawiści i ironii starczej, a oczy zaledwie rozbłysłe na świat, przyćmiewała już mgła smutku i zmęczenia przedwczesnego.

— Wiecie wy, kogo też wczoraj spotkałam! — wybił się w pewnej chwili z ogólnego gwaru jakiś niezdrową radością dyszący głos młodej, dobrze zbudowanej blondyny.

— Kogo? kogo? — mów, Władka! mów — rozbrzmiewały ciekawe wykrzykniki.

— Kogo? Stefkę! No, wiecie! Tę rudą Stefkę, co ją stąd wylali niedawno!

— Stefkę! Stefkę! Nie może być! No i co! i co? Mówiłaś z nią?

— Oczywiście! Jechała dryndą, powiadam ubrana jak królowa! Wsiadłam z nią razem objechałyśmy pół Warszawy!

— I co mówiła? Co opowiadała? Dobrze jej?

— Jeszcze by nie! Pieniędzy ma jak lodu, na palcach pełno brylantów — a mieszkanie podobno marzenie... Zaprosiła mnie do siebie... pójdę w niedzielę.

— Nie gadaj!... I nie wstydziła się ciebie obwozić po ulicach — krzyknęła nad samem uchem mówiącej Baśka, która nagle wyrosła jak z pod ziemi.

— A idźże precz, raku zatracony! — żachnęła się dziewczyna. — Widział to kto? Wstydziła się! Także wymyśliła! A co to ja gorszego od niej? Jak będę chciała, to nie tylko dryndą, ale własnym powozem rozbijać się będę!

— Wiadomo, wiadomo — zachichotała Baśka, odłatując. — Uważaj tylko, żebyś nie oświwała do tego czasu.

Dotknięta do żywego dziewczyna, już poderwać się chciała i pogonić za małą — ale przykuł ją do miejsca ostry głos panny Karoliny

— Panna Władysława zapomina, że to nie Dynasy, ani podwórko na Nalewkach. Tu krzyczeć, ani bić się nie wolno!

— Przeklęta baba — mruknęła ze złością dziewczyna. — Zawsze musi swoje trzy grosze wtrącić.

— Gadaj Władka! gadaj! Co ci tam ona! — nalegały dziewczęta siedzące najbliżej. — Mów tylko ciszej, to nie usłyszy. No i co Stefka jeszcze... co?

— Powiadam wam, opowiadała mi całą hecę — roześmiała się Władka, zapomniawszy już o doznanej przykrości. — Kiedyś w Bristolu, na malinowej sali dostrzegła naszego starego z żoną...

— Co? a on tam po co?

— A no? pieniądze ma, to idzie się pokazać. Stefka była z tym swoim starym — no, i wyobraźcie sobie, tak się kręciła po sali, aż sobie znalazła miejsce naprzeciw nich...

(Ciąg dalszy nastąpi).

JÓZEF LASOŃ.

POŻEGNANIE

FRAGMENT.

Zagrzmiały dzwony kościelne, dostojny orszak powoli kroczyć począł otoczony wonią kościelnych kadzideł, tłumem ludu, który dokoła baldachimu się skupiał. Chorągwie kościelne i bractw kościelnych, korporacyi, powiewały dumnie ponad głowami tłumów, obrazy niesione przez biało ubrane dziewice majestatycznie posuwały się naprzód jakgdyby lektyki. Dziewczątka w bieluteńkich sukieneczkach szły przed baldachimem obsypując kwieciem drogę, po której orszak dostojny miał kroczyć.

Prowadzili księdza prałata z prawej strony kapitan, z lewej porucznik, ułani zaś z wyciągniętymi szablami wartowali przy baldachimie. Za nimi brać oficerska szpaler uczyniła, w tyle zaś prowadził kompanię honorową komendat Rolański. Karabiny błyszczały do słońca, żołnierze kroczyli z dumą i zadowoleniem, bo po raz pierwszy w życiu służbę tak zaszczytną sprawując.

Orszak zatrzymał się przed pierwszym ołtarzem.

Rozpoczęła się uroczysta chwila; ksiądz prałat podszedł na stopnie ołtarzyka, modlitwy odprawiając.

— Prezentuj broń! — słychać było polską komendę wśród bicia dzwonów, jęczenia dzwoneczków kościelnych i pobożnych zawodzeń duchownych.

Las chorągwi pochylił się ku ołtarzowi; ludzie pobożnie uklękli, żołnierz polski sprezentował broń, gdy z ust kiędza prałata posypało się błogosławieństwo na wiernych.

— Prezentuj broń!...

O hasło w Polsce wytęsknione, śnie kochany!. Śniliśmy — czy to jawa była?

— — — — — — — — — — — — — — — —

— W połowie czerwca wyjeżdżamy! Przyszły dziś telegramy z Warszawy.

— Nie może być — łamie rączki pani mecenasowa i osuwa się bezładnie na krzesło — żartujecie panowie?

— Nie ciotuchno! Jedziemy. Rozkaz twarda rzecz!

— Wyjeżdżacie! — i łzy ciurkiem po policzkach spływają.

— Miasto już wiadomością zaalarmowane... rozpacz wszędzie i żal... minionych dni i snów..

— Ale wrócicie?

— Daj Boże!

— Wrócicie?

— Może już nie my!

— Boże... Boże...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Miasto zostało zaelektryzowane wiadomością o odjeździe Legionistów. Żałowano powszechnie nie tyle żołnierzy, ale żałowano sprawy, dla której na posterunkach stali, bo wiedziano, przypuszczano powszechnie, że choć powody odjazdu są dobrze umotywowane, jądro sprawy nie w tem leży.

Zbierały się komitety, żeby jakoś radzić, deputacye i pisma do Rady Regencyjnej słać, ale pomimo wszystkich wysiłków i dobrej woli obywatelskiej rozkaz nie zmienił się i wyjazd był nieunikniony.

Przeto poczęto żegnać.

Żegnały komitety, żegnały grupki czy stronnictwa, bo przez ten czas pobytu dużo się zmieniło i na żołnierza polskiego, legionistkę inaczej patrzeć poczynano.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Baryłka! Jedziemy!

— Gdzie panie poruczniku?

— W szwadron! Na wojnę — odpowiada imci pan Adam, melancholijnym okiem patrząc na depeszę trzymaną w dłoni.

— Jezu! — krzyknął Baryłka i do nóg porucznika się zwalił jak kłoda.

— Wojenka! Szwadron... — szepcze ułan jak do modlitwy.

— Wstawajże zbóju!

— Jedziemy! — krzyczy ułan.

Ale porucznik coś melancholijnie usposobiony.

— A nasza pani? — przypomniało się nagle ułanowi, że ta złocista żonka pana porucznika w tęsknicy zostanie i łzach.

— Jakże żonę na wojnę brać! A wiemy gdzie jutro będziemy i co z nami będzie? Szabla ci teraz żonką będzie a koń łożem małżeńskiem, kula pocałunkiem, śmierć kochanką.

I zafrasował się pan Adam wielce jak tu żonce wiadomość przykrą przedstawić, żeby płaczu wielkiego nie było, bo choć żołnierskie serce twarde, gdy niewiastę miłuje, to łzy jej są ci mu jak rany pieprzem posypane i solą natarte.

Schował przeto wiadomość za pazuchę, potarł czuprynę kilkakrotnie i ruszył do pani żonki, która w komnatach niewieścich płótna i koronki przygotowywała, że kiedy Bóg obdarzy ją potomstwem, żeby wszystko było przygotowane i na czas uszyte.

Jest przecież w niektórych domach zwyczaj, że pannie młodej do wyprawy ślubnej szykuje się wyprawę chrzestną, bo ino się obejżyj w miodowych czasach poślubnych, a tu już z młodej mężateczki mateczka się staje i czasu nie ma przygotować wyprawę dla dzieciecia.

— Ruszył pan Adam z zafrasowaną miną, wyściskał i ucałował żonkę, a potem lisim słowem zapytał:

— A cóż byś robiła, gdybym na wojnę szedł. Pani żonka zalała się łzami.

— Cóż miałabym robić? Wola Niebios i tyle. Przed żoną i domem stoi pierwsza Ojczyzna.

Pan Adam ze czcią rączki małżonki ucałował.

— Bo widzisz, moja kochana — przemówił pan Adam po wstępnym przygotowaniu małżonki — musimy jeszcze dziś jechać do regimentu po rozkazy.

-- Adam...

— Tuś... cicho... tuś...

— Adam...

— Żołnierzem jestem i muszę. Nie płacz, bo sobie rady we łzach nie znajdziesz, a mnie próżno boleść czynisz. Jedziemy do regimentu.

— Wola Nieba!

I pani żonka pod wpływem słodyczy Adama uspokoiła się, pogodziła z losem, choć serce krawiło się z bólu, nie okazywała zbytnio boleści.

Baryłka po rozmowie z porucznikiem wypadł jak opętany z dworu, do stajni wskoczył i dalej koło koni chodzić, do łbów końskich się przytulać. Strzałkę w nozdrza ucałował, że aż parskać poczęła.

— Mój koniku kochany — i do mordy końskiej się przytulił, jakgdyby do policzków dziewczyny.

I skakał w stajni pod powałę, konie mu nogami przytupywać poczęły, rozmawiał z nimi, radował się nowiną, a konie głowami kiwały, mądrymi ślepiami na ułana patrzyły, jakgdyby wszystko co im mówił rozumiały.

— Koniki moje! — i do łbów końskich się przytulał.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Pamiętajże o Bogu i mnie — ze łzami w oczach pani Adamowa mówiła zawieszając medalik srebrny z Matką Boską Częstochowską na szyi męża — wojnę kończ, a wracaj w dom, dzieciątko ci już może uchowam...

— Zochna...

I długą chwilę przytuleni do siebie byli.

— No Adam — przemówił Prześniewski — daj z dubeltówki. Tłucz bisurmanów a wracaj, wracaj żywo! Niech cię Bóg prowadzi i od złego chroni.

— Mości Baryłko! daję ci ten medalik, żeby cię Bóg w swej opiece miał i chronił.

— Paniusiu złota...

— Będę.. będę jak przy ślubie... jak w Karpatach...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Czerwcowy cudny wieczór był, gdy gromadka nasza z domu Prześniewskich wyszła odprowadzić pana Adama aż pod las, skąd puścić się miał konno na Kalisz, aby z oddziałem połączyć i przez Warszawę do regimentu wrócić.

Więc przodem wiódł pan Adam małżonkę, szepiąc miłosne słowa na pożegnanie. Za nimi Prześniewscy, Baryłka zaś w tyle koniki osiodłane prowadził, opowiadając im dziwy o wojnie i jak tam w szwadronie będzie, jak będzie ich pielęgnować i karmić.

Więc jeszcze długa chwila pożegnania, łez, wreszcie pan Adam ostro na Baryłkę krzyknął:

— Konia!

I wskoczył na siodło, uzbrojony od stóp do głów.

Jeszcze z konia rączkę żonki ucałował, łzy na oczach zamroził, a potem... nagle jak wicher podciął konia i z kopyta ruszył.

— Bywaj... Zochna... Bywaj... — szło echo skądś z lasu coraz słabiej, coraz dalej, mięszało się z szumem drzew.

— Bywaj!... Bywaj!...

Aż umilkło zupełnie i tylko szum lasu powtarzał dźwięki niedawno słyszane, naśladować starał się wiernie:

— Bywaj... bywaj...

Wracali... Prześniewscy prowadzili zadumaną Adamową pod ręce, która przystawała co chwilę wchłaniając szum lasu w siebie, bo las jej grzmiał mężowskiem echem:

— Bywaj... Bywaj...

Słońce zachodziło... zorzą czerwoną zalało widnokrąg, pokrwawiło las i pola coraz bardziej chowając rozpaloną swoją tarczę gdzieś za góry, gdzieś na krawędzi ziemi, aż wreszcie weszło i znikło zupełnie, jak gdyby w morze wstąpiło, lub w olbrzymią przepaść, wreszcie w otchłań ziemi się wdarło. Promienie jeszcze jakiś czas drgały, póki zupełnie nie zagasły...

— — — — — — — — — — — — — — — —

I nastał w Polsce dzień dzisiejszy!...

Kronika tygodniowa

Habemus papam!

Dzień 9. grudnia b. r. zapisał się trwałemi głosami, o ile je za takie uważać można, w dziejach oswobodzonej Polski. Ukończyło się czteroletnie prowizoryum, przeznaczone na uchwalenie ustaw zasadniczych, po długich, a często bezcelowych gadaniach Sejm Ustawodawczy przeszedł w dobrze zasłużony, choć przez niektórych swych członków niezbyt pożądany, stan spoczynku, w listopadzie dokonano wyborów do pierwszego zwyczajnego Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej, które zebrały się w dniu 28. listopada, rozpoczynając swą kadencyę, a na dzień 9. grudnia zwołano Zgromadzenie Narodowe, mające się zająć elekcyą prezydenta Rzeczypospolitej.

Pomiędzy stronnictwami dotychczasowemi widoczne jest pewne przegrupowanie, o czem zresztą wspominaliśmy już poprzednio, jak w byłym, tak i w obecnym Sejmie jest ta sama zdeklarowana prawica i lewica, zmianie uległo natomiast centrum, dokąd w poważnej liczbie dostali się przedstawiciele mniejszości narodowych.

Od chwili ukonstytuowania się Sejmu i Senatu rozpoczęły się forsowne pertraktacye między poszczególnemi stronnictwami, mające na celu zapewnienie stworzenia większości parlamentarnej, którąby była zdolną do rządzenia i dała możność utworzenia parlamentarnego gabinetu, dotychczasowe bowiem, choć nazywały się przeważnie fachowymi, były tylko doryweczymi i skutkiem tego w bardzo młodym wieku schodziły jeden po drugim do grobu na uwiąd starczy. Ale ani prawica, ani lewica, same przez się większości utworzyć nie są w stanie, zmuszone są zatem do szukania poparcia w stronnictwach środka. Decydującą rolę, jak się zdawało miał w tym wypadku odegrać zespół Piastowców P. S. L., zostający pod batutą kapelmistrza Witosa, tak prawica, jak i lewica robiły doń „perskie oko", a przy tej sposobności obiecywały dużo i tydzień temu jeszcze można się było spodziewać, że Witosowscy, a przynajmniej znaczna ich część, skierują się ku prawej stronie, co skrajną lewicę przyprawiało o czarną rozpacz. Potwierdzeniem tych przypuszczeń był wynik wyborów marszałków Sejmu i Senatu. Przed południem poparła prawica kandydaturę Piastowca Rataja na marszałka Sejmu, popołudniu Piastowcy spłacili dług wdzięczności, oddając swe głosy na Trąmpczyńskiego, który też objął marszałkostwo Senatu.

Załatwiwszy się w ten sposób z ukonstytuowaniem się Sejmu i Senatu, przystąpiono w dalszym ciągu do szukania dróg porozumienia przed wyborem pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej. Ta sprawa była trudniejszą do załatwienia. Gdy dotychczasowy Naczelnik Państwa oświadczył kategorycznie, że kandydatury swej na stanowisko prezydenta nie stawia, zawrzało między stronnictwami jak w ulu i w rezultacie pokazało się, że porozumienie między prawicą a Piastowcami było tylko chwilowe a przy wyborze prezydenta trudno im będzie znaleźć wspólną wytyczną. Przez cały tydzień szukano kandydatów na to stanowisko, a choć wielkich ludzi posiadamy tylu, ilu jest posłów i senatorów (nie mówiąc już o tych, którzy urzędowo za takich uznani nie zostali...), pokazało się, iż odpowiedniego kandydata znaleźć będzie nie łatwo. Wymieniano różne nazwiska, między innemi prof. Morawskiego, Nowaka, Witosa, Trąmpczyńskiego, Narutowicza, Skirmunta, Zamojskiego, Ponikowskiego, Wojciechowskiego, nie mówiąc już o Paderewskim i Dmowskim, z których pierwszy dał już, jak się zdaje, spokój polityce, a zabrał się z powrotem do muzyki, drugi natomiast jest podobno ciężko chory. Kombinacyom nie było końca, gdyby totalizator przyjmował był stawki na biorących udział w biegu prezydyalnym, byłby niezawodnie zrobił na tem doskonały interes.

Do dnia 9. grudnia, to jest do chwili rozpoczęcia elekcyi nie miał ogół pojęcia o tem, kto wyjdzie z wyboru jako głowa państwa, bo, choć stronnictwa radziły bardzo pilnie, tak każde w swem własnem gronie, jak i wspólnie z sąsiadami, każde z nich nazwiska swych kandydatów utrzymywało w tajemnicy, nie znanem także było, jak się ugrupują podczas wyboru i która strona prawa, czy lewa, potrafi na swoją stronę przechylić równowagę. Elektorowie dość się też napocili, nim doszli ostatecznie do po rozumienia, na co potrzeba było, aż pięciu biegów prezydyalnych. Przy każdym z nich pozostawał w tyle bodajby na długość końskiego ogona tęn i ów kandydat, ostatecznie do ostatniego biegu stanęło ich dwu, hr. Zamoyski i Narutowicz. Poszczęściło się Narutowiczowi, w piątem głosowaniu otrzymał 289 głosów na 545 głosujących. Zainteresowanie się wyborem pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej było stosunkowo ożywione, nie tak jednak, jak można się tego było początkowo spodziewać. Tak prawica, jak i lewica pocieszały się tem, że stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, dzięki postanowieniom konstytucyi, jest raczej reprezentatywne, rządy właściwe pozostają zaś w ręku Sejmu i Senatu, oraz gabinetu, a ten ostatni jest ustawowo za wszystko odpowiedzialny, co w danym wypadku mógłby zbroić prezydent, że zatem ważniejszą może nawet jest rzeczą, komu powierzonną będzie misya utworzenia nowego gabinetu, bezpośrednio bowiem po wyborze prezydenta dotychczasowy gabinet podaje się do dymisyi.

W chwili zatem, gdy kronika z kałamarza przelewa się na papier, przechodzimy trzecią fazę oczekiwań, tym razem na powołanie prezydenta gabinetu i rady ministrów. Oczywiście i w tym wypadku najrozmaitszych kombinacyi nie brak. Zainteresowanie w świecie politycznym z tego powodu daleko większe, niż przy obu poprzednich wyborach, marszałków bowiem tylko dwóch, prezydent tylko jeden, a ministrów prawie tuzin, zatem szanse dostania się na świecznik społeczny daleko większe. I znów kandydatów tylu, ilu posłów i senatorów, o ile gabinet będzie parlamentarny, o ile zaś miałby być fachowy, daleko więcej, gdyż każdy obywatel, choćby nawet o „domowem wykształceniu" uważa się za fachowca i powiada sobie, że rządzić, to głupstwo, grunt jedynie, aby się dostać na odpowiedni fotel. Tymi fotelami podzielą się zaś stronnictwa w zgodny sposób wedle tak zwanego „klucza partyjnego", który ma to do siebie, że raczej zamyka przed nami lepszą przyszłość, niżby ją miał otworzyć. Jeśli bowiem dane stronnictwo ma obsadzić ten lub ów fotel ministeryalny, choćby nie chciało, znaleźć musi w swem łonie odpowiedniego kandydata, bez względu na to, czy się zna na tem, czem się ma zajmować, czy nie. Żyją zatem w dalszym ciągu nasi mężowie stanu w podnieceniu nerwowem, bo każdy z nich uważa się za godnego i uzdolnionego do sterowania nawą państwową, wychodząc ze zasady, że „nie święci garnki lepią".

Nowy gabinet znajdzie bardzo wdzięczne pole do pracy, musi się jednak zabrać do niej z całą energią, aby bieg spraw, tak wewnętrznych, jak i zewnętrznych, pchnąć raz nareszcie na normalne tory. Uczono nas przez ośm lat, abyśmy byli cierpliwi, a przetrzymamy, zapasy cierpliwości są przecież już na wyczerpaniu, a to przetrzymywanie stało się trudnem do wytrzymania.

O sprawy zagraniczne nie rozchodzi się nam tak bardzo, bo narazie nie są one jeszcze zbyt opłakane, jako młody organizm państwowy musimy się zresztą w dzisiejszych warunkach z tem pogodzić, iż nasi sprzymierzeńcy i protektorowie opiekują się nami (daj Boże zdrowie Lloydowi Georgeowi, że raz nareszcie poszedł w odstawkę!...), główny nacisk położyć się powinno na uporządkowanie stosunków wewnętrznych na których samo wspomnienie naprawdę aż się na płacz zbiera. Nasza marka polska jest najlepszym barometrem, wskazującym ciśnienie ekonomiczne. Wartość jej spada z tygodnia na tydzień i niema nadziei, aby się kto znalazł, by ją potrafił powstrzymać w tym przyspieszonym ruchu ku dołowi. Z tego powodu zwracają się oczy nasze z ogromnem utęsknieniem w stronę fotelu, na którym zasiądzie nowy minister skarbu, mający być dla nas owym Mojżeszem, wyprowadzającym swój lud z egipskiej niewoli paska i lichwy. Jego *exposé* bardziej nas zainteresuje, niż wynurzenie ministra spraw zagranicznych, opowiadającego zwykle tylko o tem, co nasi protektorowie na swych rozmaitych konferencyach albo uradzili, albo mają zamiar dopiero uradzić. Dałby Bóg, aby ten nasz zbawca nie ograniczył się na zkrytykowaniu gospodarki swych poprzedników i zapowiedzi, że należy się rozglądnąć za wyszukaniem środków ratunku, zanim bowiem znajdzie czas do tego, już na jego fotelu siedzi kto inny, który zaczyna *da capo* od narzekań i obietnic i zwykle na tem kończy. Radykalnej sanacyi naszych stosunków finansowych i ekonomicznych koniecznie nam potrzeba, ale radykalnej i szybkiej, nie dorywczej i powierzchownej. Podwyższenie opłat, podatków i. t. d. samo nie wystarczy, gdyż staje się tylko powodem nowej fali drożyzny.

Mamy zatem i Sejm i Senat, mamy Prezydenta Rzeczypospolitej, niebawem będziemy mieć i nowy gabinet, możemy zatem spać spokojnie, skoro są głowy, radzące nad tem, by nam było jak najlepiej. Ustępujący gabinet zostawił nam prezent w postaci podwyższenia cen tytoniu i obietnicy nowych zwyżek opłat kolejowych i innych, cieszyliśmy się nadzieją, że zwłaszcza podwyższenie cen wyrobów tytoniowych uszczęśliwi nas na Gwiazdkę, bo tak zapowiadano, tymczasem pokazało się, że nastąpiło to już z dniem 1. grudnia nie czekając nawet na dzień św. Mikołaja. Gdy sobie kronikarz kupił paczkę „przedniego fajkowego" za czterysta marek, przedewszystkiem musiał go suszyć trzy dni na piecu, aby się przekonać potem, iż zamiast 25 gramów, waży tylko 19, a potem, gdy sobie w pokoju zakurzył fajeczkę, wypędziła go Weronika do sieni, bojąc się. aby się nie udusiła. Jedną tylko ten tytoń ma dobrą stronę, iż mole giną od jego zapachu, co jednak nie wyklucza zapytania pod adresem szanownego zarządu monopolu, w szczególności zaś krakowskiej fabryki tytoniu i cygar, czy godzi się za takie bajońskie sumy dawać konsumentom takie paskudztwo. Dzięki podwyżce cen tytoniu podrożały też i inne artykuły, gdy zaś kronikarz zapytał się kasztaniarza, ile też kosztuje funt *„maroni arostiti"*, a dowiedziawszy się, że tylko dwa tysiące marek, zauważył, iż to trochę za drogo, otrzymał na to odpowiedź:

— A pan łaskawy wie, ile ja muszę teraz zapłacić za papierosa?...

Rząd daje piękny przykład paskarzom i lichwiarzom, a oni go bardzo skwapliwie naśladują.

Aż głowa pęka na samą myśl, jak to wyglądać będą w tych warunkach święta Bożego Narodzenia, od których oddziela nas tylko tydzień. Kronikarz ma już przygotowane powinszowanie dla P. T. Czytelników, dziewiąte z rzędu od chwili wybuchu wojny światowej, oczywiście pełne narzekań, ale i nadziei, że wszystko, co nam dolega, zmieni się raz przecież na lepsze, skoro rządzimy się w myśl konstytucyi, że zatem obejdzie się bez bolszewizmu, nie będzie także potrzeba szukać pomocy Mussoliniego, o którym tak pięknie mówił w Starym Teatrze Nowaczyński, choć go Krakauerzy przyjęli tak niepięknie. Nie jesteśmy przyjaciółmi pana Adolfa, bo i on nas nie kocha, co jednak nie przeszkadza do zrobienia uwagi, że tego rodzaju polemika, oparta na „ręcznych argumentach" zaszczytu nam nie przynosi. Dziwić się też należy, że prelegent, znając z łamów *Naprzodu* usposobienie części Krakowian względem swej osoby, zdecydował się na przyjazd w mury Krakowa, tak przezeń stale wykpiwanego. I to także jest jednem z dobrozczynnych następstw wielkiej wojny światowej prowadzonej w imię kultury, że teraz coraz częściej prowadzi się polemikę nie słowami, ale przy pomocy pięści lub kija.



Rymera. Następnie został on prezesem Rady Ludowej, urzędującej w okresie plebiscytu, aż do czasu przejęcia Śląska przez Polskę, wreszcie — pierwszym wojewodą śląskim. Bezstronnością i taktem zjednał sobie na tem stanowisku powszechny szacunek.

Pogrzeb jen. Iwaszkiewicza.

Pogrzeb ś. p. jen. Iwaszkiewicza stał się potężną manifestacyą żałobną nad trumną tego zasłużonego obrońcy Lwowa. Zgodnie z wolą zmarłego zwłoki jego przewieziono do Lwowa i tam złożono na wieczny spoczynek. Smutny obrzęd rozpoczęła uroczysta eksportacya zwłok z kościoła św. Krzyża w Warszawie na dworzec kolejowy.

Po nabożeństwie trumnę wynieśli jenerałowie Michaelis, Latour i Wróblewski. Trumnę ustawiono na lawecie przybranej w zieleń, poczem ruszył pochód na dworzec kolejowy, celem przewiezienia zwłok do Lwowa. Na czele pochodu jechał na koniu jen. Suszyński, przepasany przez ramię czarną wstęgą, poprzedzając orkiestrę i dwa szwadrony szwoleżerów. Następnie oficerowie nieśli wieńce od bardzo licznych organizacyi wojskowych, z wieńcem od naczelnego wodza na czele. Ośmiu oficerów niosło na poduszkach ordery zmarłego. Za nimi jechała laweta zaprzężona w 6 koni, z trumną zmarłego. Za trumną postępowali w pierwszym rzędzie przedstawiciel naczelnego wodza jen. Jacyna prezydent min. Nowak, min. spraw wojsk. Sosnkowski, szef sztabu jen. Sikorski, min. Darowski i liczna grupa jenerałów. Dalej postępował olbrzymi tłum publiczności, w większej części złożony z wojskowych. Poza tłumem szedł koń zmarłego, przykryty czarnym całunem, a następnie pułk piechoty i baterya artyleryi.

Gdy pochód doszedł do rampy kolejowej podczas zdejmowania trumny muzyka odegrała marsz żałobny a wojsko oddało salwę honorową. Gdy trumnę włożono do wagonu, wygłoszono szereg przemówień. Pierwszy przemówił pułk. dr. Łubiński w imieniu dawnych podkomendnych zmarłego, przyczem przypomniał ostatni rozkaz zmarłego, krótki i wymowny: Twardo stój, mocno bij, nie daj Polski. Następnie przemawiał kap. Zieliński imieniem Dowborczyków, delegat organizacyi wojskowej wschodniej małopolski, delegat obrony Lwowa K. Prószyński, pułk. Rzewuski i inni.

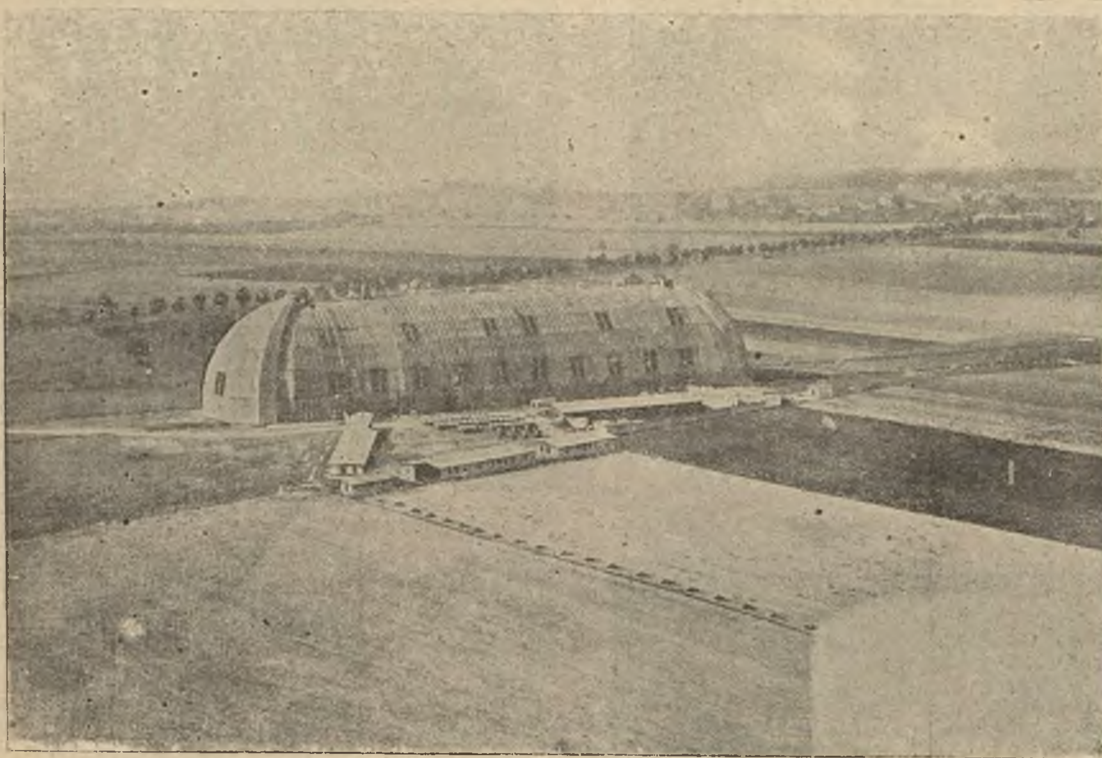
Po przybyciu trumny do Lwowa ustawiono ją w katedrze. Katafalik okryty był amarantowym sztandarem z białym orłem. Po obu stronach katafalku straż honorową pełniły dwa plutony wojska.

O godz. 10-tej ks. arcyb. Bilczewski w towarzystwie biskupa Twardowskiego, ks. infułata Zajchowskiego i licznego kleru świeckiego i zakonnego odprawił egzekwie, poczem trumnę wzięli na barki oficerowie i żołnierze. Gdy kondukt stanął na placu katedralnym, chór „Bard“ odśpiewał pieśń żałobną Rutkowskiego, poczem z mównicy pożegnał zmarłego imieniem m. Lwowa, oraz tymczasowego komitetu rządzącego, który w czasie oblężenia Lwowa dzierżył władzę, wiceprezydent dr. Stahl.

Po przemówieniu pożegnalnem złożono zwłok na 15-centimetrowe działo, które w r. 1919 przysłane było na odsiecz Lwowa. Za lawetą postępował brat zmarłego, pułk. Piotr Iwaszkiewicz wraz z synem i córką, oraz dwaj siostrzeńcy zmarłego. Naczelnika państwa reprezentował jen. Rozwadowski, w imieniu prezydenta ministrów i rządu obecny był wojewoda Grabowski. Poza tem w pogrzebie wzięli udział wojewoda krakowski dr. Gałecki, delegacya pułków warszawskich z jen. Dowbór-Muśnickim na czele i niezliczone tłumy publiczności.

Na ulicach, któremi postępował kondukt, płonęły latarnie osłonione kirem.

Na cmentarzu obrońców Lwowa przemówił pierwszy jen. Dowbór-Muśnicki, następnie imieniem D. O. K. Lwów kapitan Petry, były szef sztabu jen. Iwaszkiewicza, imieniem obrońców Lwowa dr. Zagórski, oraz imieniem armii jen. Rozwadowski.



Polska flota powietrzna: Hangar stacyi lotniczej na Ławicy pod Poznaniem.



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Ks. arcybiskup Teodorowicz (Senat).

Polska flota powietrzna.

(Do illustracyi na stronie 4 i 9).

Współczesnej wojny nie można wyobrazić sobie bez floty powietrznej. To też wszystkie państwa w swej trosce o bezpieczeństwo kraju muszą dbać przedewszystkiem o siłę liczebną i należytą wartość techniczną eskadr lotniczych. Pod tym względem Polska ma jeszcze wiele do zrobienia, ale nasze lotnictwo rozwija się pomyślnie i może już poszczycić się poważnemi sukcesami. Jedna z większych stacyi lotniczych znajduje się



Członkowie nowego Sejmu i Senatu Inż. Kędzior (Senat).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Władysław Kucharski (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Jan Dąbski (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Wincenty Witos (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Inż. A Hausner (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Bryl (Sejm)

w Poznaniu. Posiada ona doskonałe aparaty i wytrawnych lotników.

Załączone illustracye przedstawiają zewnętrzny widok i wnętrze hangaru na Ławicy pod Poznaniem. Widzimy tam mnóstwo aeroplanów, które zdobyła ludność polska w pamiętne dni przewrotu i zrzucenia jarzma niemieckiego w Poznańskiem.

Z żałobnej karty.

(Do illustracyi na stronie 4).

W Krakowie zmarł ś. p. Alfred Daun profesor wyższej szkoły przemysłowej, artysta rzeźbiarz. Zmarły rzeźbiarz należał do minionego pokolenia rzeźbiarzy, których duch czasu usunął z widowni, pomimo, że w rozwoju sztuki wybitną odegrali rolę. Urodzony w Baranowie, kształcił się najpierw w Bochni pod Hanuszem, następnie w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych pod kierunkiem Walerego Gadomskiego. W r. 1889 został docentem rzeźby w krak. Szkole Sztuk Pięknych, a następnie profesorem w latach 1891—1898.

Ś. p. Daun był twórcą posągów „Lilli Wenedy“ i „Grażyny“ na plantacyach krakowskich oraz całego szeregu biustów sławnych Polaków w parku dra Jordana w Krakowie. W galeryi Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu jest jego terrakotowe „Popiersie Chrystusa“, dar krak. Tow. Sztuk Pięknych. Grupa „Muzyki“ na froncie teatru krakowskiego jest również jego dziełem. Jako artystę cechowała ś. p. Dauna rzadka sumienność rysunku i modelowania i te zalety wszczepiał jako profesor ku wysokiemu pożytkowi uczniów.



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Maryan Dąbrowski (Sejm).

Członkowie nowego Sejmu i Senatu.

Fizyonomia polityczna nowego Sejmu i Senatu różni się znacznie od poprzedniego Sejmu ustawodawczego. Cechą charakterystyczną obu izb jest brak grup centrowych, które przy wyborach poniosły zupełną klęskę. Za to prawica i lewica weszły do nowego Sejmu wzmocnione, co wytworzyło jeszcze większy, niż w poprzednim Sejmie antagonizm. Obok ludzi nowych weszli do obecnego Sejmu i Senatu działacze, znani z działalności w poprzednim Sejmie. W dzisiejszym numerze zamieszczamy w dalszym ciągu podobizny członków nowego Sejmu i Senatu.





Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Dr. Herman Diamand (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Dr. Zygmunt Marek (Sejm).



Członkowie nowego Sejmu i Senatu: Dr. Liebermann (Sejm).

Zadziwiająca tresura.

Tresura, oparta na znajomości natury danego okazu — może naprawdę wydać zdumiewające wyniki. Oczywiście tresura nie może polegać na terrorze, na męczeniu zwierzęcia biciem lub głodem. Łagodność i rozumne traktowanie są tu pierwszemi wymogami powodzenia.

Alfred Machin i Henryk Wulchleger w Nicei założyli specyalne atelier kinematograficzne, gdzie sporządzają humorystyczne zdjęcia dla filmów „z życia zwierząt".

W całym szeregu reprodukcyi załączonych



Zadziwiająca tresura: Flirt.

w niniejszym numerze, widzimy rozmaite miłe stworzonka udające ludzi. Widzimy romansujące pieski i ptaszki w poufnej „rozmowie" z królikami i czworonogi w barze i te same zwierzęta przy luksusowo zastawionej uczcie.

Zdumiewające wyniki tresury!...

Lotnictwo na usługach fotografii.

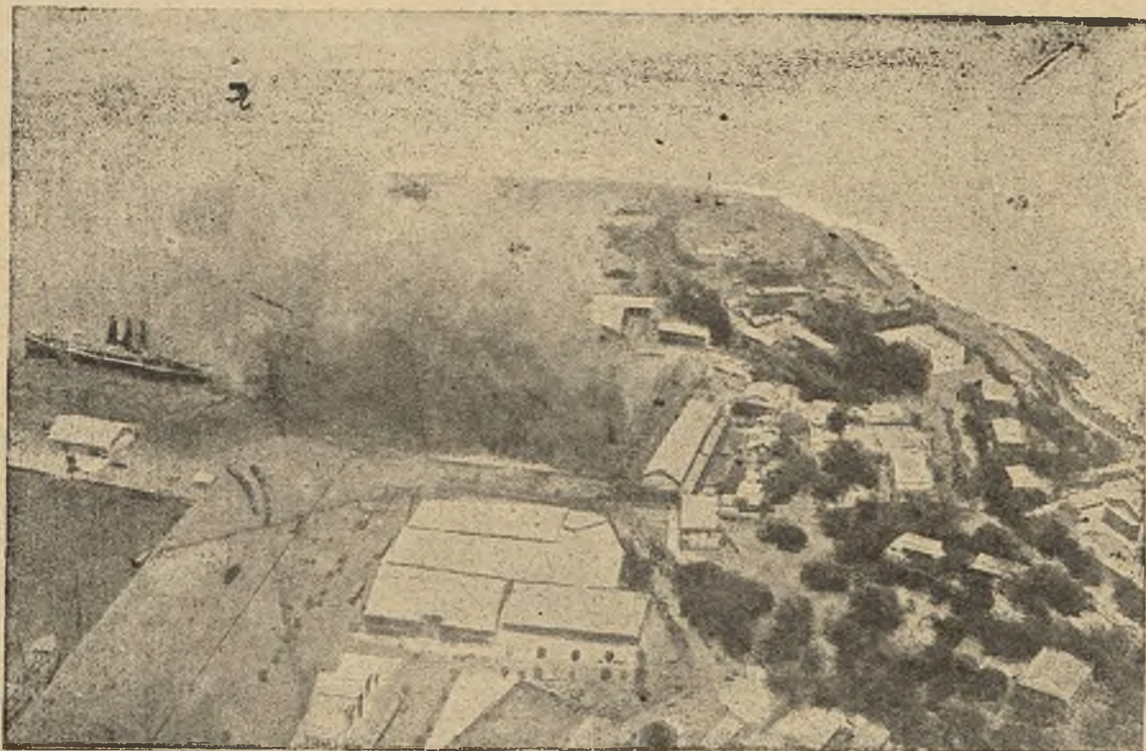
Rozwój lotnictwa i uzyskanie prawie zupełnej pewności siebie i bezpieczeństwa wśród przestworów powietrznych przyczyniły się niemało do ułatwienia zdjęć fotograficznych z lotu ptaka. Zdjęcia podobne mają niesłychaną wagę przedewszystkiem



Zadziwiająca tresura: Młoda para.

dla wojskowości, ułatwiając w nadzwyczajny sposób służbę wywiadowczą, zastosowano je także i do celów naukowych, najsumienniejsze nawet zdjęcia kartograficzne nie są wstanie dorównać fotografii, sporządzonej ze znacznej wysokości i oddającej najzupełniej wiernie bieg dróg, rzek, położenie budynków i t. d.

W ciągu wojny światowej oddało lotnictwo stronom walczącym niemałe usługi, przed oczyma obserwatora, który zajął miejsce na samolocie, nic się nie ukryło, jego doskonały aparat fotograficzny wskazał bieg nieprzyjacielskich rowów strzeleckich,



Lotnictwo na usługach fotografii: Zdjęcie z aeroplanu pożaru magazynów portowych w Dakar (Afryka).

położenie pozycyi obronnych, posuwanie się kolumn wojska. Udoskonalenie przyrządów optycznych ułatwia w znacznej mierze tę służbę, pozwala bowiem na robienie zdjęć ze znacznej bardzo wysokości, gdzie się lotnik czuje stosunkowo dość bezpiecznym. Z rozwojem lotnictwa rozwinęła się też wynalazczość ludzka w kierunku zaopatrzenia



Zadziwiająca tresura: Skrzydlaci pasażerowie.

się w broń, odpowiednią do ostrzeliwania choćby najwyżej krążących statków powietrznych.

Jak wierny obraz sytuacyi oddaje fotografia z lotu ptaka, świadczy zamieszczona obok rycina, przedstawiająca gwałtowny pożar magazynów w Dakar obejmujących całą dzielnicę. Zdjęcia dokonał przelatujący tamtędy przypadkowo lotnik francuski.



Z ruchu wydawniczego.

Buchalterya (księgowość) pojedyncza i podwójna z uwzględnieniem metod: włoskiej, amerykańskiej, niemieckiej, francuskiej i t. d. Podręcznik praktyczny dla osób, chcących wyuczyć się buchalteryi lub w niej wydoskonalić. Ułożył Henryk Chankowski. Tom I. wydanie 10-te, jubileuszowe, z portretem autora, 50-ty tysiąc, rok 1922.

Pod powyższym tytułem wyszło nowe, 10-te wydanie Buchalteryi. Podręcznik ten jest dostatecznie znany z wydań poprzednich, abyśmy uważali za konieczne podawać o nim obszerniejszą recenzyę. Jasność wykładu, wyborne przykłady praktyczne, przytem zwięzłość i styl poprawny zalecają to dzieło, którego I. tom mamy przed sobą







Zadziwiająca tresura: 1) Bankiet czworonożnych i dwunożnych biesiadników. 2) W bufecie. 3) Nareszcie sami.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.